Poznań New Roman – Kopyt, Pietrek, Rolando, Wolski, Żabnicka

Jerzy Borowczyk

Zawsze tak samo. Samemu z wierszami i wielka (nie)ochota na pisanie. Obiecane, więc musi być napisane.

Od dawna chcę napisać o Poznaniu, którego nie ma. Tak bardzo jest, że nie jest – Poznań jako nic. Skoro tak, to nie ma szans na pisanie o nim bez zasłony dymnej. Nie znajdę lepszej od wierszy. W dotąd czytanych (Kuciak, Barańczak, Roszak, Krynicki, Sośnicki, Grzebalski, Pasewicz, Kaczanowski) miasta coraz mniej. To przeze mnie. Kolejne odczytania miasto zamazały. Trzeba odłożyć. Poczekać.

Przyjaciel podsuwa tomiki innych. Bianka Rolando, Kira Pietrek, Joanna Żabnicka (arkusz gotowy, czeka na druk), Przemysław Wolski (też czeka na książkę), Szczepan Kopyt. Pierwsze słyszę – pierwsze czytam. W różnych okolicznościach miasta (czytam), które samo siebie wymazuje. Bo Poznania nie ma. To rzecz wiadoma. A poza tym wcale nie chodzi tutaj o szukanie elementów miasta w liryce, ani tym bardziej liryczności w Poznaniu. To zostawiam mieszkańcom grodu, w którym podobno nie ma już smoka (tak uważa autor o niskich pobudkach). Niech się po prostu ukaże (zmęczyła mnie już ta rozgrzewka), niech się ujawni Poznań wierszy (Poznań poetów tym razem nie). Albo – jeśli wolicie – niech się okaże (lub nie), jak się miasto wyraża w wierszach.

„ten wiersz trzeba będzie zapomnieć" – mówi Szczepan Kopyt i nie ma powodów, by mu nie wierzyć. Ten facet systematycznie demontuje języki i etyki, którymi raczą nas późny kapitalizm, ponowoczesność, neoliberalizm czy co tam chcecie. Takie wiersze już w momencie powstania wydają na siebie wyrok, to znaczy autor je skazuje. I dorzuca: „oświadczam kategorycznie koniec z dobrymi wierszami". Koniec z ładniutką poezją, dość stawania po słusznej stronie politycznej poprawności i poprawności poetyckiej (tej ton nadają dwa centra – krakowskie i warszawsko-puławskie). Miasto się w poezji Kopyta wyraża przez poetyckie samobójstwo. Co w zamian? Katastroficzna, apokaliptyczna, manifestowa jazda liryczna.

W tych wierszach z czterech już tomów (czterej jeźdźcy…?) namiętne rajdy w przestrzeni, w poprzek dyskursów i rejestrów (nauka, polityka, miłość, historia, estetyka), po knajpach i obyczajach. Rozciąganie i naciąganie składni, manipulowanie akcentem (tzw. logicznym) w zdaniach, w strzępach zdań. Masakra strof (aż po zapis od prawej do lewej, od ślęczenia nad którym bolą oczy i głowa). I powiem wam, że taki Poznań budzi we mnie odrazę i dlatego go kupuję. Bo mi dokucza. Wszystko mi w tych wierszach doskwiera i mnie rozwala:

Tandetna konsumpcja i konsumpcja tandety. Kapitalizm jako „obóz zagłady". Ważne i nieważne są wszystkie dyskursy (jedno i drugie zawsze jest komuś na rękę). „jesteś grobem świń kurczaków i piwska" („nie da się tego piękniej powiedzieć"). Poznańskie „chwaliszewo": „dzielnica pełna ruin / czarne cegły // bezdomni / bezbarwni / beznodzy / na wózkach // na dyktach / czekający na skucie lodem + // w rzece + kominy + księżyc + noc"). Wszystkim włada wielka „liczba", a w niej: menedżerowie, sprzątaczki, kierowcy tirów, inżynierowie, kontrolerzy, ale przede wszystkim oni: przodownicy pracy wychodzący wieczorami z biurowców. Bo: „umiera cały inwentarz pojęć", a „nasza etyka opiera się na ropie".

Ktoś powie: bunt, zaangażowanie, lewicowość, naturalizm – to już było. Odpowiem: ale u Kopyta jest na nowo. Powiedziane jest z wolnym od patosu żarem. Upchane w minipoematy, poddane permanentnej, enumeracyjnej torturze pojęć, emocji, uczuć, socjologicznych obserwacji. No i ta zdolność Kopyta do rzucania – przy okazji, jakby niechcący – zawołań i fraz, które pozostaną w pamięci (na pewno jego pokolenia):
„pozdrów ode mnie tego innego niż człowiek". „o potrzebie ponowoczesnej pieśni religijnej". „musisz się zawsze urzędu bać … / masz bać się protestować i masz nie widzieć sensu". „stracone pokolenie nadprodukcja humanistów / dzieci czarnej nocy generała". „dzieci postmoderny".

Jeśli ktoś z was chciałby poecie doradzić, by w takim razie szukał szczęścia w demokracjach zamożnych, to wiedzcie, że was uprzedził:
„wyjedź stąd szepce kwiat kawa ekran i kobieta
rozdaj wszystkie słowa które masz stań nagi
i prosty kiedy otworzą się wrota".

Im późniejsze wiersze Kopyta, tym więcej w nich nagości (tym razem nie pornograficznej), jakiegoś ogołocenia ideologicznego i estetycznego, uproszczenia (ale nie spłycenia), mimo że czasem wyrażanego potokiem słów, których sensu nie wyłuskasz tak łatwo z kapsułek zwrotek i wierszy, bo poeta zapomniał o interpunkcji i dużych literach. Ciebie, mnie, siebie, miasto poeta obnaża. Nie łudźcie się… – mówi. (A miasto z nim, za nim powtarza to samo). +

Wymazane (skryte) komentarze. W debiutanckich, prozatorsko-poetyckich Rozmówkach włoskich Bianka Rolando umieściła reprodukcje płócien i fresków Giottów, Leonardów i innych włoskich mistrzów, a także własne prace graficzne (pt. Italiki), czyli fotografie z wymazanymi „niefiguralnymi kształtami" – „skrytymi komentarzami". Taki z jej utworami problem: rozlewne frazy, mnożenie podmiotów, wiele kulturowych odwołań (oprócz malarzy np. Dante w Białej książce, mistycy chrześcijańscy, w Modrzewiowych koronach szamani etc., etc.), a sedno wymazane, puenta ukryta. Jeśli męczy was eklektyzm Poznania, to u Bianki znajdziecie na to receptę: nakładajcie kolejne warstwy, napiszcie coś na nich, zedrzyjcie to. I dalej nakładajcie warstwy. Przesuwajcie to, co już poustawiane, pod jedne elementy podsuwajcie elementy zupełnie inne. Zderzajcie ze sobą obiekty i perspektywy. Jak ona to robi? W Rozmówkach dokonuje przekładu z malarskiego na słowne, z przeszłego na obecne, a potem w drugą stronę. Zamiar przepastny – wykonanie lekkie. Oto proza Pocałunek. Najpierw reprodukcja – Giotto: pocałunek Joachima i Anny, rodziców Maryi. Dalej intensywna (składniowo i leksykalnie) obróbka pojęć płodności (w przyrodzie: ślepa, nakręcona, regularna) i bez(nie)płodności ludzkiej. Do tego fotografia przedstawiająca „kwietnik przed bolońską kliniką leczenia bezpłodności", opatrzona białym, wymazanym komentarzem. Po drodze mnóstwo odgłosów, pomieszanych skarg i westchnień, słownych pieszczot, usiłujących dokonać przekładu pracy pędzla Giotta na słowa (ekfraza), a wszystko to podcinane wyimkami z lodowatego słownika medycznego opisującego zapłodnienie oraz zapłodnienie in vitro.
W Białej książce poetka kawałkuje Biankę:
„już nie mogłabym być tylko jako Bianka
Muszę już chóralnie, oralnie, muszę piszczeć już
w trzech postaciach, w trzech wygodnych zapachach […]
oto moje trzy ramiona […]: Bianca, Bruna, Blu".

Każda z nich coś mówi. Gada też jakiś mężczyzna. Zwany biblijnie „Oblubieńcem", choć to typek wyuzdany („Nie chciało mi się sobie czegokolwiek odmawiać"), się rozsypujący i rozsypkę innych kontemplujący:
„Na plaży dostrzegłem resztki po ludziach". „strzepuje się z siebie". „moje cielesne myślenie pomału zaczyna się rozpadać". „moje ciało rozpada się na pierwiastki / pierwotniejsze od wszelkich organizmów pierwszych".

A finał tego procesu może być tylko taki: „aby nie być już, by nie bywać i się nie pojawiać". To jest jakiś anty-Dante, Boska komedia à rebours. Bo zaczyna się od „Nieba", w którym się błądzi. A kończy „Piekłem". W środku – jak zwykle – „Czyściec". „Anarchiczna antygramatyka". Długie, rozgadane pieśni, całe ich mnóstwo. Daje to efekt polifonii, ale i znużenia. I tak ma być, byś się nagle obudził i przeczytał otwierającą „Piekło" niesamowitą Pieśń

przekreśloną (liczy cztery strony, a każda z nich przepruta przekątną czarną linią), z taką prośbą (modlitwą?):
„Przekreśl mnie teraz, proszę i uczyń nieczytelną
niech me słowa pisane w zmęczeniu i uniesieniu
zostaną precyzyjnie zamazane na wieki przewlekle".

A jeśli znowu się skimniesz, obudzi cię puenta „Piekła" o wymownym tytule Końce końców:
„Pogubiłam me wdzięczne diademy, dostojne dodatki
całą biżuterię wyjściową na błądzenia ślepe
Czyż nie jestem piękniejsza, bo potłuczona i naga?"
Znowu, jak u Szczepana, nagość. I u Bianki, i u niego unieważnianie własnego dzieła. Ona przekreśla pieśń, on nakazuje zapomnieć wiersz.

Może tak i z tym miastem? Na wierzchu gospodarność, porządek, niedzielne spacery po słodkie (i niech tak zostanie), pod spodem autode(kon)strukcja, przenicowywanie, dzika żywotność. Może właśnie te skryte, wymazane żywioły podsuwają Biance wizję gruzów, której na imię Początek: „Miasto – wielkie pogorzelisko – witało skruszonym kamieniem i stosami ludzkich piszczeli".

Puszka Kiry. Poznańska Pandora ukrywa się pod pseudonimem Kira Pietrek i robi w reklamie. Dobre miejsce na staż dla Pandory, nie uważacie? Otwieram Język korzyści, jej debiut (mocny i wyrazisty start poetycki, jak – nie przymierzając – Zimne kraje i Życie na Korei sprzed lat 20; pewnie przesadzam, ale tylko troszkę). Podnoszę wieczko tej puszki, no i co? No i nie ma dobrych wiadomości. Na przemian życie ludzi w biurach (terror w pracy, a po niej seksualne opium) i przytoczenia ze skryptu o hodowli trzody chlewnej. Jeden z wierszy Kiry otrzymał kształt wypisów z badań współczesnych. To taka bibliografia teraźniejszości: spis tematów, tytułów konferencji naukowych, zagadnień, nazw grantów. Kilka z nich:
„proces alienacji / mięsożernych ludzi od zjadanego zwierzęcia". „chów rzeźny tuczenie rozmnażanie śmierć". „życie niewidomych / w dobie kultury wzrokocentrycznej".
To się nazywa jazda po bandzie!

Szybki oddech tej poezji. Nawarstwianie i wyliczanie. Maszynka poematu. Przesuwają się przed oczami czytelnika zastępy osób, treści ustaw i programów nauczania, urywki z podręczników o hodowli i rozrodzie zwierząt. Język korzyści to wykładnia zasad hodowli człowieka w epoce późnego (globalnego?) kapitalizmu. W tym mnożeniu, tasowaniu, klonowaniu wersów i językowych okazów jest jakaś ucieczka i zarazem próba zdyskredytowania tej rzeczywistości. Bunt. Rewizja. Napastliwość. Ślepy sarkazm i wysublimowana ironia. Tak wygląda poezja w czasach zdominowanych przez +

język kosztów i korzyści. Poetka się pyta: kto za to wszystko (za)płaci? Miasto wkłada, na gwałt wciska jej w usta te frazy i pytania. Dziura w budżecie (ontologicznym).

Nie myślcie Państwo, że piszę o partyjnej aktywistce. Raczej o nieludzko bystrej obserwatorce, przewrotnie wrażliwej, która świetnie rozdaje głosy i racje w swym tomiku. Czasami każe przemawiać dziewczynie z jakiejś korporacyjnej otchłani, która gotowa byłaby strajkować, ale za dużo jej płacą, i której (ironicznie) wkłada w usta wyznanie: „mój szef / jest tylko mój". Kiedy indziej bohaterka Kiry stroi się w ciuszki rzeczonej Pandory, a może i Kasandry, a wtedy oznajmia adresatom swojej rozbuchanej litanii apostrof-wyzwisk, co następuje: „r a z e m żyjecie wyłącznie ze strachu". Zero wspólnoty, zero głębszych więzi. (Tak brzmi, tak wygląda) psychoanaliza miasta.

„Wszystko widać od spodu". Łatwo ulec złudzeniu, że arkusz poetycki Joanny Żabnickiej to skromna, grzeczna, nieśmiała przymiarka do debiutu, układny kroczek w stronę tak zwanego życia literackiego. Rozciągniętego na kole poematu czytelnika Kopyta, Rolando i Pietrek wcale nie czeka słodkie odetchnienie w spokojnych – na pierwszy rzut oka – strofach Żabnickiej. Wpada z deszczu pod rynnę. Czyta, czyta i widzi się w subtelnej, smutnej, samotnej matni. Widmo klaustrofobii zagląda mu w oczy. Oto coś się skończyło. I jest już po (czy tylko metaforycznym?) pogrzebie:
„ktoś kto obiecywał przestaje przyrzekać". „tamten bez był ostatnią prośbą o połączenie".
„Akacje rzucały grudki / kwiatów w miejsce, gdzie widziano cię po raz ostatni".

Oto „stwórca nie wpadł / jeszcze na to, że z ziemi / wszystko widać od spodu". Wszystko się pokręciło. Stajemy bezradni i lekko oszołomieni wobec świata, w którym
„ryby wyławiają zaklęcia; krzyk mewy zamyka uszy; morze chłepcze grunt; twarz wystawiona na wędrówkę świateł; ciało chce być znalezione i zakopane".

Podmiot w defensywie, u samego spodu, w parterze. W środku miasta. Zdrożony podmiot na tych samych ulicach. Zamiast puenty zdany na „ostatni zajazd na trasie" (a nie na Litwie) lub autobusową pętlę.

Bohaterka Żabnickiej usiłuje wymknąć się z pułapki. Celebruje nawet najbardziej znikome prześwity dnia, wczesnego słońca, „mdlącego światła poranka". W takich sytuacjach mówi: „Tymczasem", co wygląda na jakąś formę ułożenia się z teraz. Co może się wydawać próbą wymuszenia czegoś na świecie. Próbuje wziąć miasto podstępem. Może stąd tyle u Żabnickiej odwróceń perspektywy, zacierania konturów skutków i przyczyn, pomieszania podmiotów i przedmiotów czynności? I jeszcze jedno. Poetka potrafi zagrać detalem, narzucić mu artystyczną wolę,

skłonić, by był (mimowolnym) autoportretem:
„Nie ma odwrotu od śladu ust na szklance,
twarzy na chuście".

Ciało ojca. Przemysław Wolski naczytał się powtórek ze śmierci Tkaczyszyna-Dyckiego. Wcale tego nie ukrywa. Nawet aranżuje scenkę spotkania z poetą, który ciągle nie ma domu (Jesień już Panie...). Wymieniają grzeczności przy pisuarach. Wolski nie jest poznańskim Dyciem. Tkaczyszynowi ciągle nie może umrzeć matka. U Wolskiego cień ojca.

Jak on (Wolski) to robi? Co? Mówi: „to jest ciało ojca mego". Mówi tak o poezji. Pytam się więc, jak on to robi, że nie brzmi fałszywie, wtórnie, podniośle. Wiersze z trzewi ojca każe nam czytać. I nie stoi w sprzeczności z tym nazywanie siebie „wierszorobem samozwańcem". Każdy samozwaniec ma ojca. Ojciec samozwańca też mógł być samozwańcem w tym, co robił. Syn ojca robi wiersze. W Poznaniu.

Oddaje głos studentowi polonistyki. Ten ma paczkę znajomych. Od palenia trawy, tabletek, studiów, poezji. Zuzia, Joanna, Adrian, Damianek. Ma też siostrę – Jankę. I wuja.

Miota się bohater Wolskiego w historii domowej („me rodzinne znieczulenie"), w mieście studiów, otchłani kawalerki i zaćpanych samotnych niby-przyjaciół.

A wszystko to ujęte w nawroty, powtórki, wariacje czasu, osób, czynności i bezczynności. Dzięki nim młody człowiek Wolskiego staje się. Dzięki mówieniu w kółko jakby tego samego. Znowu poemat.

♦

Jest taki wiersz Szczepana Kopyta: times new roman. A w nim wersy:
„poeci sprzedawali produkty albo tak się wydawało
żeby wydane wydawało owoce i stypendia".
W zuniformizowanej wiosce piszą poeci. Młodzi i osobni. Zależy im na tym, byśmy myśleli, że nie piszą dla idei czy czegoś w tym stylu. Nie ma pokolenia czy czegoś takiego. Gdy ich jednak czytać i myśleć o mieście, o którym chciałoby się coś napisać, to dostrzega się tę skłonność do: pędu i zachłanności (poematu), specyficznej optyki (patrzenia od spodu, z boku, po przekątnej, zawsze opozycyjnie), natrętnej polifonii (rozszczepienia podmiotu). Miasto podsunęło im czcionkę?
Poznań New Roman. •